



Płotki, pieniacze i żarłacze w ZLP

Jerzy Putrament
i Jarosław Iwaszkiewicz

Iwaszkiewicz zawsze lubił być blisko władzy, Putrament cenił konszachty z władzą chyba bardziej niż własne pisarstwo. Przez lata razem rządzi ZLP. Jednym pomagali, innych odstawiali na boczny tor. Czasem, jak w przypadku Luny Brystygierowej czy żony uwięzionego Wacława Kostka-Biernackiego, przed wojną komendanta obozu w Berezie Kartuskiej, były to decyzje zaskakujące

Z Tomaszem Potkajem, autorem książki „Akwarium. Opowieść o Związku Literatów Polskich w PRL-u”, rozmawia Maciej Walaszczyk

Dlaczego książkę zatytułował pan „Akwarium...”? Żeby kojarzyła się z powieścią Suworowa? Co nam mówi o Związku Literatów Polskich w tamtych czasach?

Tomasz Potkaj: To prawda, akwarium kojarzy się z Wiktorem Suworowem, a także ze Stefanem Kisielewskim. Napisał on pod pseudonimem Tomasz Staliński powieść „Ludzie w akwarium”, którym była dla niego kamienica w al. Szucha, wówczas al. Wojska Polskiego, gdzie mieszkał wspólnie z PRL-owskimi dygnitarzami, z którymi mijał się na klatce schodowej. Moje „Akwarium” jest zapożyczony od Zbigniewa Herberta z rozmowy, którą w połowie lat 80. przeprowadził z nim Jacek Trznadel, a weszła ona do tomu „Hańba domowa”. A ten znów tytuł autor wziął od Norwida. Myślę, że ta metafora jest czytelna, bo ZLP był w jakiejś mierze osobnym ekosystemem z małymi i grubymi rybami, który rządził się swoimi prawami.

Ale literaci byli pilnie kontrolowani przez KC PZPR i bezpiekę. Czy tacy ludzie jak wieloletni prezes związku Jarosław Iwaszkiewicz zapewniali im pewną izolację od systemu?

Oczywiście Związek Literatów był kontrolowany jak każda instytucja w PRL. Grono tajnych współpracowników było w nim wyjątkowo liczne i niewiele jest środowisk, w których było tak wielu agentów jak tam, co zostało już zbadane i opisane na podstawie archiwów IPN. Bezpieka starała się wszystko wiedzieć, rozgrywać, przewidywać zagrożenia. Jarosław Iwaszkiewicz w jakiejś mierze zapewniał pisarzom parasol bezpieczeństwa, a także potrafił załatwić dla środowiska różne sprawy, dlatego na kolejnych zjazdach koledzy wybierali go na funkcję prezesa. Kontrkandydata, wysuniętego przez opozycję związkową, miał tylko raz – w 1972 r. na łódzkim zjeździe. Igor Newerly oczywiście z nim przegrał, choć uzyskał niezły wynik. Przy tym wszystkim Iwaszkiewicz był uważany za pisarza dużego formatu, co też było

istotne. Np. Gierek miał do niego wyraźną słabość. Kiedy po zjeździe ZLP w Katowicach w kwietniu 1978 r., który miał bardzo niekorzystny z punktu widzenia władz przebieg, suflowano mu rozwiązanie związku i powołanie w jego miejsce innej organizacji, stanowczo się nie zgodził.

Jednak w tamtych czasach każdy autorytet można było zmiażdżyć. A Iwaszkiewicz trwał. Decydowała jego lojalność wobec PZPR, cechy charakteru?

Iwaszkiewicz zawsze lubił być blisko władzy. Po prostu kochał splendor. W 1927 r., w okresie rządów sanacyjnych, objął funkcje attaché kulturalnego w Kopenhadze. W PRL był wieloletnim posłem na Sejm, zasiadał w rozmaitych gremiach, otrzymał Nagrodę Leninowską.

Inny skamandryta, Jan Lechoń, też był wtedy dyplomatą w Paryżu, ale potem skończył na emigracji.

Lechoń żył w biedzie i zakończył życie śmiercią samobójczą. Iwaszkiewicz w PRL mieszkał w pałacyku jak ziemianin. Lechoń uważał go za zdrajcę. Nie utrzymywali kontaktów.

Podobną postacią był Jerzy Putrament. Przed wojną żagarysta, a nawet działacz Młodzieży Wszechpolskiej. Ale do kraju wrócił w mundurze polityka armii Berlinga. Udało mu się nawet przetrwać oskarżenia o odchylenie prawicowo-nacjonalistyczne. Skąd jego siła?

Już w 1944 r., kiedy pojawił się w Lublinie w mundurze wojskowym, był wyznaczony do pełnienia funkcji nadzorca literatury z ramienia partii. I pozostał nim przez lata. Był wysoko usytuowany w hierarchii władzy, przez pewien czas zasiadał w Komitecie Centralnym. Miał niezwykłą umiejętność wyczuwania, skąd wieją wiatry, co umożliwiło mu współpracę z kolejnymi ekipami władzy.

Ale w przeciwieństwie do Iwaszkiewicza nie był dobrym pisarzem.

Na pewno nie był pisarzem tej miary, choć jego książki w PRL były wydawane masowo. Namiętność do polityki i literatury ścierały się w nim przez całe życie. Putrament przez lata nieformalnie rządził związkiem jako sekretarz podstawowej organizacji partyjnej i jeden z wiceprezesów. Po śmierci Iwaszkiewicza w lutym 1980 r. przez 10 miesięcy, do wyboru następcy, którym został Jan Józef Szczepański, kierował nim w sposób formalny. Ale szans na prezesurę nie miał także wcześniej i przy wszystkich swoich ambicjach był świadomy, że może zostać najwyżej numerem dwa przy Iwaszkiewiczu.

Pana książka zawiera dużo bardzo interesujących historii o ludziach często mało znanych. Historia Jerzego Kornackiego i starszej od niego żony Heleny Boguszewskiej jest wymowna. Ludzie lewicy, nawet działacze PKWN, zostali zniszczeni przez SB.

Przypadek Jerzego Kornackiego skupia w sobie wątek polityczny, obyczajowy, związkowy i może w najmniejszym stopniu literacki, bo był słabym pisarzem. Na początku lat 60. po Warszawie zaczęły krążyć anonimowe wierszyki zawierające treści obsceniczne i krytyczne wobec przywódców partyjnych z Gomułką na czele. W tamtym systemie dało się to podciągnąć pod działanie na szkodę interesów PRL, za co był stosowny paragraf. SB dużym nakładem środków wpadła na trop anonimowego autora, którym okazał się członek ZLP Jerzy Kornacki. Aresztowano go i skazano. Związek próbował go bronić, choć w prawach członka go zawieszono. Iwaszkiewicz i Jerzy Zawieyski interweniowali w jego sprawie, związek wsparł Helenę Boguszewską, która została bez środków do życia. Więzienie złamało życie Kornackiemu i jego żonie. Do końca pozostali na marginesie życia literackiego.

Zarekwirowano również prowadzony przez niego dziennik zatytułowany „Kamieniolomy”. Odnaleziono go potem w archiwach MSW. Z wielu jego tomów tylko dwa są dostępne – reszta znajduje się w posiadaniu rodziny. To specyficzna



lektura, pełna obyczajowych niedyskrecji, choć słaba literacko. Pewnie nie nadaje się do druku, ale badacze znajdują tam sporo ciekawych, nieznanych rzeczy. Trochę szkoda, że nie mogą czytać całości.

Która z wielu postaci, opisanych przez pana, wydaje się szczególnie interesująca?

Na pewno Robert Stiller, znany głównie jako tłumacz z wielu języków. We wczesnych latach 50. jak wielu w tym środowisku żył w potwornej biedzie. Pisał przejmujące podania do związku i w końcu dostał przydział na służbowe mieszkanie w Domu Literatury, najładniejsze, ponadstumetrowe, w którym wcześniej mieszkała Zofia Nałkowska. Po pewnym czasie zarząd podjął decyzję o powiększeniu biblioteki kosztem m.in. tego mieszkania, w związku z czym grzecznie poproszono pana Stillera, by opuścił lokal. Ale on nie miał zamiaru się wyprowadzać. Jego konflikt z ZLP trwał przez dwie dekady, zachowała się dokumentacja, więc tę historię, nieznaną wcześniej, mogłem opisać w szczegółach.

Nabawił się przez to choroby psychicznej?

Był piniaczem. Uważał, że związek ma obowiązek go utrzymywać jak dobro narodowe, płacić stypendia na naukę kolejnych języków. Miał wyjątkowo rozwinięte poczucie własnej wartości, niespotykane nawet wśród pisarzy, z których spora część – jak wiemy – uważa się za geniuszy.

Czy życie w tzw. akwariu, z cenzurą na karku, pozwalało na rozwój talentów? Czy związek, w którym walczono przede wszystkim o przywileje socjalne, o to dbał?

Wpływowym członkiem krakowskiego oddziału ZLP był Kornel Filipowicz, twórca odrębny i wyjątkowy, którego wartość odkrywają dziś kolejne pokolenia. A w Warszawie np. Wiesław Myśliwski, jeden z najwybitniejszych pisarzy polskich. Czy Zbigniew Herbert, którego koledzy wybrali nawet do zarządu głównego, choć do pracy związkowej nadawał się słabo. Zależy, czyją twórczość

będziemy analizować i w jakim okresie. Zmuszanie w latach 50. ub.w. do pisania koszmarnych wierszydeł sławiących Stalina czy powieści produkcyjnych było oczywiście tłumieniem talentów. Ale przecież nie wszyscy dali się zwiść. A poza tym zwykle tak bywa, że w jednym stowarzyszeniu pisarzy spotykają się ci wybitni, ci przeciętni i zwykli grafomani.

Pana zdaniem część znanych tytułów powstała w domach pracy twórczej wykreowanych w tamtych czasach. A więc to nie tylko miejsca dla kochanki i wódka?

Do związku nie przyjęto Luny Brystygierowej. Komisja kwalifikacyjna odmówiła jej rekomendacji. Środowisko nie zgodziło się na mieszanie porządku ubeckiego z literackim. I w tym przypadku nie dyskutowano nawet o wartości jej książek

Staralem się zmierzyć z mitem domów pracy twórczej, który koncentruje się na ekscesach alkoholowo-towarzyskich. Tam rzeczywiście pito wódkę, romansowano, kwitło życie towarzyskie. Józef Hen tymczasem powiedział mi, że 70 proc. swoich rzeczy napisał w dworku w Oborach. Oderwanie się od codziennych obowiązków na kilka tygodni po to, by za niewielkie pieniądze poświęcić się pracy twórczej i twórczym kontaktom z kolegami pióra to wielka sprawa, doceniana także przez tych pisarzy starszego pokolenia, którzy nie byli piewcami tamtego systemu.

Janusz Przymanowski w domu pracy twórczej napisał nie tylko powieść „Czterej pancerni i pies”, lecz także znalazł żonę.

Ją akurat poznał w związkowej Villi Astoria w Zakopanem. Maria Hulewiczowa

była sekretarką i towarzyszką życia wicepremiera Stanisława Mikołajczyka. Po jego ucieczce z kraju spędziła kilka lat w więzieniu. Wyszła jeszcze przed polskim Październikiem, koleżanka z wydawnictwa załatwiła jej pobyt w domu Związku Literatów, żeby doszła do siebie i podratowała zdrowie. I tam poznała Janusza Przymanowskiego, który był mocno partyjny. Jak się okazało, mimo tak różnych biografii i poglądów politycznych pokochali się i zostali małżeństwem. Nie na długo jednak.

Opisuje pan też niewiarygodną historię żony Wacława Kostka-Biernackiego, przed wojną nadzorującego obóz w Berezie Kartuskiej. Dlaczego pomógł jej Putrament?

Kostek-Biernacki, oskarżony o zwalczanie ruchu rewolucyjnego i faszyzację Polski, został skazany na karę śmierci, którą zamieniono później na karę wieloletniego więzienia. W okolicach odwilży, schorowany, wyszedł z więzienia i krótko po tym zmarł. Jego żona Anna nie miała z czego żyć. Jerzy Putrament załatwił jej pracę w bibliotece Domu Literatury, gdzie przetrwała do emerytury. Mówiąc ówczesnym językiem, zatrudnił żonę wroga klasowego, choć nie musiał tego robić. Co pokazuje, że postacie, które oceniamy dziś negatywnie, także czasem potrafiły zachować się przyzwoicie.

Członkiem władz związku był w pewnym momencie Paweł Jasienica, a właściwie Leon Beynar. Jako żołnierz zgrupowania AK Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki” zwalczał sowieckich partyzantów, zabijał PPR-owców, co mu potem wypominano.

Gdy wyszedł z więzienia za wstawieniem Bolesława Piaseckiego i Luny Brystygier, chciał wrócić do normalnego życia, a więc do pisania. A ktoś, kto chciał w PRL wydawać książki, musiał należeć do związku. Jasienica nie spełniał zresztą kryteriów statutowych, bo miał zaledwie jedną wydaną książkę, a trzeba było mieć dwie, więc przyjęto go jako członka kandydata – ten twór zlikwidował sam związek po 1956 r. Po Październiku Jasienica wszedł nawet do zarządu głównego.

W 1968 r. Władysław Gomułka, w ramach antysemickiej nagonki, wyciągnął Jasienicy Łupaszkę z akt ubeckich. Zarzucił mu nie tylko udział w wykonaniu wyroków na komunistach w białostockiej wsi Narewka, lecz także niejasne okoliczności opuszczenia więzienia z sugestią, że zobowiązał się do jakiejś formy współpracy. Jasienica oczywiście nie mógł bronić się publicznie, bo żadna gazeta nie wydrukowałaby jego sprostowania. Ale wysłał list do kilku instytucji, w tym do ZLP, w którym wyjaśniał, jak było, zaznaczając, że nie miał nic wspólnego z działalnością Łupaszki po wojnie. Dziś wiemy, że takie kontakty jednak miał, do czego wówczas absolutnie nie mógł się przyznać. A z ZLP nie został wyrzucony, mimo że domagał się tego sam Gomułka.

Który z partyjnych sekretarzy był poza okresem stalinizmu dla literatów najgorszy? Towarzysz Wiesław?

Gomułka był wręcz groteskowy w swojej niechęci do świata kultury, w tym do pisarzy. W jednym ze swoich publicznych wystąpień odwołał się np. do opowiadania 30-letniego wówczas Ireneusza Ireduńskiego „Dzień oszusta”, o którym powiedział, że „ten człowiek żyje tak, jak pisze”. Ireduński nie pozostał dłużny. Określił Gomułkę mianem „wicechuja”, co było w jego słowniku największą obelgą. Gomułka wściekał się też na Kisielewskiego czy Szpotkańskiego, który zresztą nie był członkiem Związku Literatów.

Największą przewiną dla komunistycznych władz w tamtych czasach był druk w pismach emigracyjnych?

To prawda. Publikacje choćby w Instytucie Literackim Giedroycia były traktowane jak zdrada. Dlatego najczęściej – jak Stefan Kisielewski przez lata – robiono to pod pseudonimem. W latach 70. ub.w. pod własnym nazwiskiem Kazimierz Orłoś wydał w Paryżu „Cudowną melinę”. Został za to objęty całkowitym zakazem druku, stracił też pracę w Polskim Radiu. Na szczęście mógł zatrudnić się jako radca prawny.

A wpływowe kobiety? Izabela Czajka-Stachowicz, tuż po wojnie kapitan MO, przed wojną bardzo znana, pro-

wadząca bujne życie, pierwowzór Heli Bertz z „Pożegnania jesieni” Witkacego? Jaka była jej rola w związku?

Czajka-Stachowicz przed wojną była znana w środowisku warszawskiej bohemy. Po wojnie postanowiła zostać pisarką. Chciała też wstąpić do związku, ale ponieważ w środowisku dość powszechnie uznawano ją za grafomankę, nic z tego nie wyszło. Po kilkuletnim okresie kandydackim skreślono ją z list członków. W końcu pomocną dłoń wyciągnął do niej Marian Eile, naczelny „Przekroju”, drukując jej relacje z podróży, bo sporo jeździła po świecie, co było wtedy rzadkie. A „Przekrój” dawał popularność. Z opowiadań powstała książka i w końcu Czajka została przyjęta do związku.

A dlaczego nie przyjęto Luny Brystygierowej?

Ona akurat spełniała kryteria formalne, bo po likwidacji MBP opublikowała pod panieńskim nazwiskiem Julia Prajs dwie książki. Ale komisja kwalifikacyjna odmówiła jej rekomendacji. Środowisko nie zgodziło się na mieszanie porządku ubeckiego z literackim. I w tym przypadku nie dyskutowano nawet o wartości tych książek.

A Alicja Lisiecka? Krytyk, femme fatale?

To tragiczna postać. W latach 60. słynęła z najzgrabniejszych nóg w Warszawie i tego, że się znakomicie ubierała. Była

krytyczką literacką w IBL i kochanką Stefana Żółkiewskiego, niezmiernie zasłużonego dla komunistycznej dyktatury. Pod koniec lat 60. wyemigrowała na Zachód, w latach 80. wróciła do Polski schorowana i zgorzkniała.

Zajmowano się również życiem osobistym pisarzy?

Szczególnie w okresie stalinowskim na forum podstawowej organizacji partyjnej miały miejsce różnego rodzaju polajanki dotyczące złego prowadzenia się. Taką rozmowę dyscyplinującą przeprowadzono np. z Jerzym Andrzejewskim prawdopodobnie za jakiś eksces homoseksualny albo alkoholowy. Zwracano uwagę Romanowi Bratnemu na niewłaściwy klasowo związek z jedną z sióstr Wahl. Gdy Julian Przyboś się rozwiódł, żona skarżyła się, że nie płaci jej alimentów. Takich smaczków było więcej.

Tania stołówka dla literatów. O tym wiele pan pisze. Dlaczego to było takie ważne?

Przynależność do ZLP uprawniała do tańszych obiadów w związkowej stołówce. Sporo pisał o tym choćby Tyrmand w „Dzienniku 1954”. Dla pozbawionego możliwości zarobkowych pisarza egzystującego na marginesie środowiska zjedzenie ciepłego posiłku było wręcz kwestią przetrwania. Ale stołówka obok kawiarni pełniła też ważną funkcję towarzyską. Przy stolikach omawiano plotki, wydarzenia polityczne, było to centrum nieformalnego obiegu informacji.

Związek przyznawał też mieszkania. Po wojnie oferowano nawet piękne wille na Ziemiach Odzyskanych. Pisarze ciągnęli jednak, gdy było już to możliwe, do stolicy. Dlaczego?

Warszawa była i jest nadal najważniejszym miejscem na mapie polskiej kultury, tutaj mieściły się redakcje, wydawnictwa, radio, telewizja. Tu były prestiż i pieniądze. Kto ich pragnął, musiał tu mieszkać. Przykład. Jerzy Andrzejewski miał w Szczecinie piękny dom, ale zupełnie się tam nie odnalazł. Od strony literackiej te kilka lat było dla niego zupełnie stracone. Wrócił do Warszawy w 1954 r., kiedy tylko dostał w mieszkanie.

